

Włodzimierz Bolecki

Przemówienie z okazji otrzymania Nagrody im. Prezydenta RP Lecha
Kaczyńskiego (Warszawa 31.V.2026)

Wyróżnienie, jakie mnie dziś spotyka, jest dla mnie ogromnym zaszczytem - i radością, budzi wzruszenie, ale rodzi też niedowierzanie, zaskoczenie, a nawet pytanie, czy decyzja Kapituły była trafna, a w najlepszym razie – czy nie jest przedwczesna? Odkąd piszę, a zacząłem pisać w szkole podstawowej, należę nieodmiennie do tych, o których się mówi, że dobrze się zapowiadają, więc ta Nagroda każe mi pamiętać o wierszu Zbigniewa Herberta, o jego *Przesłaniu Pana Cogito*: „zostałem nagrodzony, czyż nie było lepszych” ?

Dzisiejsza Nagroda ma dla mnie szczególne znaczenie. Jej ranga w polskim życiu kulturalnym i publicznym, jej wymiar obywatelski i patriotyczny, jej prestiż nie dadzą się z niczym porównać. I nie jestem pierwszym Laureatem, który to mówi. Ale ta Nagroda ma dla mnie wymiar bardzo osobisty.

Po pierwsze miałem ten szczególny przywilej, że gdy w gronie przyjaciół w roku 2009 tworzyliśmy ideę Kongresu PWP oraz jego Fundacji, byłem wówczas u samych początków powstawania idei Nagrody im. Lecha Kaczyńskiego. Dlatego proszę mi pozwolić, że pierwsze myśli skieruję teraz do pomysłodawczyni i dobrego ducha tej Nagrody – do nieodżałowanej, ś.p. Maryny Miklaszewskiej.

Po drugie, szczególny charakter tej Nagrody jest zapisany w formie listy jej dotychczasowych Laureatów, a zarazem członków Kapituły, byłej i dzisiejszej, których dorobek, osiągnięcia intelektualne i zasługi dla polskiego życia publicznego, budzą najgłębszy podziw, albowiem należą do najwybitniejszych osiągnięć wolnej myśli, wolnego ducha polskiej kultury oraz największych indywidualnych talentów w różnych dziedzinach sztuki.

Po trzecie wreszcie, ***last not least***, szczególny charakter tej Nagrody to dla mnie osoba jej patrona, Prezydenta Rzeczypospolitej, świętej pamięci prof. Lecha Kaczyńskiego. To nie jest jedna z wielu Nagród, która po prostu ma swojego patrona. To jest Nagroda ustanowiona dla upamiętnienia Prezydenta Rzeczypospolitej, który wraz elitą narodu poniósł śmierć dla Polski, w rocznicę zbrodni katyńskiej. To jest Nagroda ustanowiona dla Prezydenta, który miał odwagę przeciwstawiać się imperiom europejskim w imię obrony prawdy i sprawiedliwości, niepodległości, suwerenności i demokracji, a przez to stał się niebezpieczny dla tych wszystkich, którzy miejsce Polski i całego naszego regionu widzieli w tym tam, gdzie politycznie zakotwiczono nas w roku 1945 r. Dlatego Prezydenta Kaczyńskiego tak nienawidzono, ośmieszano, to przecież dla jego upokorzenia stworzono – lub precyzyjniej: aktywowano – bolszewicki przymysł pogardy. To jest Nagroda imienia Prezydenta, który miał odwagę

powiedzieć w oczy dwojgu przywódcom europejskich imperiów, kanclerz Merkel i prezydentowi Putinowi, że nie ma zgody na ich neoimperialne ciągoty. To jest Nagroda imienia człowieka, o którym kiedyś, może nawet za setki lat, będzie się mówić z podziwem, jak o bohaterach spod Termopil, gruzińskich Termopil, o bohaterskim obrońcy Tibilisi, który z garstką takich jak on, powstrzymał przeważające wojska rosyjskiego agresora. To jest dla mnie Patron tej Nagrody. Prezydent, który już za życia stał się mitem.

---Jednak nie mogę powiedzieć – jak kilku poprzednich Laureatów - że znałem Pana Prezydenta Kaczyńskiego. Nie znałem. Co najwyżej, z całym poczuciem uzurpacji takiego określenia, powiem, że dane mi było poruszać się w kręgu jego oddziaływania, a nawet – promieniowania jego osobowości.

Mówię o sprawach zwyczajnych. Najpierw było moim wyjątkowym przywilejem, że w Instytucie Badań Literackich pracowałem - dosłownie przez ścianę - z mamą Pana Prezydenta, z panią Jadwigą Kaczyńską, która notabene powołała pierwszą Kapitułę tej Nagrody. W moich zbiorach przechowuję książkę p. Jadwigi Kaczyńskiej, przez wiele lat pierwszą i jedyną *Monografię bibliograficzną* (2010) utworów Jana Józefa Lipskiego, również mojego starszego kolegi z pracy, który zaszczylił mnie propozycją, abym został jego mężem zaufania w wyborach 1989 r. Ale to osobna historia. Po drodze, jeśli mi wolno tu wpleść wątek ściśle biograficzny było jeszcze przewodniczenie pierwszej Komisji Zakładowej „Solidarności”, która powstała w PAN, już 3 września 1980 roku. I było to wówczas doświadczenie wyjątkowe, najpierw jak tworzy się wspólnota ponad zawodowa, ponad światopoglądowa i ponad pokoleniowa, którą spajał entuzjazm, łamiący wszelkie bariery feudalnych struktur w PRL. Tę wspólnotę, na początku III RP zaczęła trawić erozja, a postawa części mojego utytułowanego środowiska budziła niedowierzanie, powodowała gorycz i zdumienie, gdyż zaraz po upadku komunizmu dowiadywałem się o zdejmowaniu znaczków i wypisywaniu się z „Solidarności” niektórych kolegów. Nie wspominając o „przepraszaniu za Solidarność”, będącym świadectwem galopującego paraliżu moralnego.

Gdy w roku 2005 prof. Lech Kaczyński został Prezydentem, a rok później jego brat Jarosław - premierem Rzeczypospolitej, mój przywilej pracowania w jednej instytucji z p. Jadwigą Kaczyńską stał się powodem do szczególnej satysfakcji, po prostu do dumy z sukcesu kogoś z naszego małego środowiska zawodowego, w którym spotykał się etos żołnierzy AK z etosem opozycji demokratycznej i świadomość, że kultura jest najważniejszą linią oporu przeciw totalitarnemu wirusowi komunizmu rozkładającemu państwa i ludzkie umysły. A w środowisku, w którym pracowałem były osobowości emblematyczne dla polskich losów jak np. Barbara Otwinowska, sanitariuszka AK, po PW więziona w III Rzeszy, w PRL skazana w procesie rtm. Pileckiego, czy uczeni i pisarze, autorzy i redaktorzy tworzący ówczesną opozycję antysystemową oraz literaturę t.zw. drugiego obiegu jak Jarosław Marek Rymkiewicz, Jacek Trznadel, Tomasz

Burek, Roman Zimand, Janusz Sławiński, Jan Walc czy wspomniany już Jan Józef Lipski.

Wkrótce po wyborze prof. Kaczyńskiego na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej, miałem zaszczyt zetknąć się z nim w Lucieniu, dokąd zapraszał ekspertów, intelektualistów, uczonych, artystów na słynne seminaria poświęcone różnym tematom dotyczącym Polski i Europy.

Uderzyło mnie wówczas, że Prezydent Kaczyński w swoich wypowiedziach na temat najnowszej historii Polski przywiązywał bardzo duże znaczenie do instytucji życia publicznego, do ich funkcjonowania, a przede wszystkim do ich wpływu na jakość i powinności państwa wobec obywateli. W każdej z jego wypowiedzi – których siłą była ich nieformalność, bezpośrednia riposta, a przede wszystkim ich spontaniczność okraszana nierzadko żartem – Prezydent Kaczyński od razu szkicował zarys reformy państwa, podawał precyzyjną diagnozę jego słabości, choroby, a najczęściej patologii. Miał już przecież za sobą doświadczenie bycia Ministrem Sprawiedliwości, Prezesem NIK-u czy Prezydentem Warszawy, więc ogrom jego osiągnięć na tych oraz innych stanowiskach przesądzał o trafności jego opinii i diagnoz.

Moją uwagę zwróciło jednak coś innego, coś, czego początkowo nie rozumiałem, a mianowicie to, że instytucje, o których mówił Prezydent Kaczyński, były dla niego punktem wyjścia do mówienia o konkretnych ludziach - o ich biografiach, o kompetencjach, a przede wszystkim o ich charakterach określanych najczęściej przez podstawowe rozróżnienie tego, co w ich działalności jest dla Rzeczypospolitej dobrem, a co złem, co służy dobremu imieniu Polski, a co je osłabia. I nie tyle fenomenalna pamięć Prezydenta czy bogactwo jego wiedzy na każdy temat, na jaki się wypowiadał, lecz niezwykła umiejętność charakteryzowania intencji, po prostu wartości, które kierowały znanymi mu osobami życia publicznego - to wszystko budziło mój najwyższy podziw. I jeszcze jedno: opisując współczesną historię Polski, Lech Kaczyński podkreślał dramatyczną skalę zafałszowań, przemilczeń i niszczenia wszystkiego, co w przeszłości składało się cywilizacyjny dorobek Polski, na heroizm pokoleń i ich opór przeciw przemocy, co tworzyło, a raczej mogłoby tworzyć zbiorowy, wspólnotowy przedmiot dumy z moralnego wymiaru ich postaw. Ale zamiast dumy z etyki społecznej Solidarności, społeczeństwu - które właśnie obaliło komunizm, uruchamiając ten proces w innych państwach bloku sowieckiego – zafundowano opowieści o lawinie zła i nieprawności. I „przepraszanie za Solidarność” jako wzór do intelektualnego naśladowania. Przeciw tej „pedagogice wstydu” – jak ją nazwał Bronisław Wildstein – występował Prezydent Kaczyński.

Zobaczyłem wtedy w jego wypowiedziach myśl, że dla ocalenia prawdy o przeszłości, dla podtrzymania postaw patriotycznych, konieczna jest instytucjonalizacja pamięci. Bo jedynie instytucje, nawet tylko jako zorganizowane formy tradycji, są gwarantem trwałości pamięci społecznej. Z idei instytucjonalizacji pamięci, dzięki Lechowi Kaczyńskiemu powstała

wkrótce realna instytucja – Muzeum Powstania Warszawskiego, które narodową tragedię potrafiło przekształcić w narodowy mit, w panteon pamięci wszystkich Polaków. Nb. w kręgach akademickich spierano się wtedy o to, czy, jak i po co istnieją „miejsca pamięci”.

Jednak najgłębszy sens tego sposobu myślenia Lecha Kaczyńskiego - które wtedy odbierałem, raczej jako nadzwyczajną, wyjątkową umiejętność wybitnego męża stanu – wyjaśnił mi się przeszło dziesięć lat później, gdy w *Biografii Prezydenta*, pióra m.in. prof. Sławomira Cenckiewicza, znalazłem nieznaną mi cytą z programu wyborczego Lecha Kaczyńskiego, wtedy kandydata na urząd Prezydenta RP (1995). Lech Kaczyński mówiąc o tym, czego brak odczuwa polskie społeczeństwo po upadku komunizmu, użył wówczas wyrażenia, które mnie zaskoczyło, z którym wcześniej się nie zetknąłem, którego chyba nikt przed nim nie sformułował, a które brzmiało jak spełnienie arystotelesowskiej definicji metafory - to znaczy słów, które dziwią się same sobie, które dziwią się, że je połączono, że je postawiono obok siebie. Lech Kaczyński powiedział wtedy, że społeczeństwu polskiemu brak jest ... „bezpieczeństwa moralnego”; „Brak nam bezpieczeństwa moralnego” – powiedział.

Różne rodzaje bezpieczeństwa - militarne, zdrowotne, finansowe, prawne, socjalne itd. - są kształtowane przez władze państwowe, to oczywiste. Ale „bezpieczeństwo moralne? Wymienione jednym tchem obok tych innych rodzajów bezpieczeństwa państwa? Dla mnie była to myśl, która co prawda zaskoczyła mnie swoim sformułowaniem, ale której treść odsłoniła mi dokładnie to, czym faktycznie zajmowałem się jako historyk literatury.

To jest właśnie moment, w którym chciałbym teraz powiedzieć kilkanaście zdań o tym, czego poszukiwałem w mojej twórczości, kilkanaście zdań, które chciałbym dedykować pamięci Lecha Kaczyńskiego i osnuć je wokół jego dwóch słów: „bezpieczeństwo moralne”.

Odkąd pamiętam, literatura interesowała mnie jako sztuka przedstawiania rzeczywistości za pomocą słowa, jako namysł nad indywidualnym i społecznym losem człowieka, jako opis komplikacji spraw ludzkich. Jako badacz literatury byłem jak tłumacz, który chce odsłonić przesłanie utworu, odkryć jego tajemnice, a przede wszystkim zrozumieć jego „głębszy sens”, nawet wtedy – by zacytować klasyka – gdy ten „głębszy sens” przebrany jest za „żart, satyrę oraz ironię”.

Interesowali mnie więc pisarze indywidualiści, niepokorni, drażący ciemne strony rzeczywistości, niedający narzucić sobie oficjalnych obrazów świata. Pisarze nie tylko spoza głównego nurtu literatury, spoza oficjalnych hierarchii, niedocenieni czy deprecjonowani, a przede wszystkim ci, którzy budzili szczególną irytację. Pisarze, których przedstawiano jako szkodników, we wszystkich znaczeniach tego określenia, a w najlepszym wypadku jako twórców, o których należy zapomnieć, żeby ich twórczością nie pobrudzić sobie rąk czyli umysłów. Historia literatury ma też swoje przemysły pogardy.

Kim byli ci, których utworom odmawiano wartości w imię kolejnych ideologicznych bożków: postępu, nowoczesności, aktualności, poprawności

politycznej, społecznej użyteczności, słuszności, itd.: w praktyce chodziło zawsze o tę formację literatury, która od XVIII wieku, kształtowała wspólnotową, narodową, obywatelską czy po prostu podmiotową tożsamość czytelników.

Czas, jakim dysponuję każe mi teraz posłużyć plakatowym skrótem.

Chyba wszyscy znamy książkę, jedną z najsłynniejszych w literaturze polskiej i światowej - *Inny Świat*. W jej *Epilogu*, bohatera książki, byłego więźnia sowieckiego łagru, którym jest Gustaw Herling-Grudziński, odwiedza inny były więzień z tego samego łagru. Opowiada Herlingowi, że ocalił swoje życie, bo zadenuncjował czterech niemieckich więźniów, których rozstrzelano i prosi, żeby Herling powiedział mu tylko jedno słowo: „rozumiem”. Herling milczy. Otóż w lekturach po publikacji tej książki przez kilka dekad ten *Epilog* traktowany był jako oczywisty, bo chodziło o odmowę akceptacji dla kogoś, kto złożył donos, czym spowodował śmierć niewinnych ludzi. Na początku III RP przeżyłem jednak szok, który niestety trwa do dzisiaj, bo zetknąłem się ze stwierdzeniami, że zakończenie książki jest dowodem bezdusznego moralizatorstwa Herlinga, który nie tylko odmówił drugiemu człowiekowi zrozumienia, ale złamał mu dalsze życie. Pisarza zaczęto oskarżać o bezwzględność o brak empatii dla drugiego człowieka. Zastanawiałem się, co było źródłem takich oskarżeń? Atak na postawę Herlinga nie był tylko wynikiem idiosynkrazji do konkretnego pisarza, był atakiem na obronę granicy pomiędzy dobrem a złem. Dlaczego jednak nie wcześniej, a w III RP? W końcu skojarzyłem – czyli jak mówią dzisiaj publicyści - połączyłem kropki. Otóż kontekstem oskarżeń Herlinga była walka z lustracją.

To było dokładnie w tym samym momencie, gdy opublikowano t.zw. listę Macierewicza. Właśnie wtedy media w Polsce zalała fala podniosłych rozważań o krzywdzie, jaka spotyka tych, którzy kiedyś się załamali, pisali donosy, a po latach to im się przypomina. Argumentowano, że przecież ci ludzie mają rodziny, dzieci, wnuki i tak dalej- W Herlinga uderzono dlatego, ponieważ był wybitnym pisarzem, wielkim autorytetem, a ponadto jego książka znalazła się na liście lektur szkolnych. Chodziło więc o edukację młodych pokoleń.

Ale w tej recepcji było ukryte coś jeszcze. Ci, którzy zaatakowali Herlinga i bronili tych, których miano poddać lustracji, ci wszyscy

obrońcy nietykalności teczek, mogliby być przecież nazwani obrońcami szmalcowników. Na czym bowiem polegało szmalcownictwo? Na donosie. Rzecz w tym, że ci, którzy donosili w PRL, w III RP znaleźli potężnych medialnie obrońców, którzy zażądali bezwzględnego zrozumienia dla delatorów. Nie dla ofiar.

Jesteśmy w centrum Epilogu *Innego Świata*.

Ten „inny świat” to oczywiście cały system sowiecki, ale Herling w swojej książce mówi też o naszym świecie, t.zn. świecie ludzi wolnychw którym podstawowe pojęcia: dobro, miłość, prawda, wiara, Bóg, wolność, rodzina są wartościami, które wykluczają akceptację nazywaną „rozumieniem innego świata”. Herling ostrzegał, że jeżeli nasz świat ma pozostać światem wolnym, to nie może upodobnić się do tamtego „innego świata”. I dlatego w całej swojej twórczości pokazywał, że nie tylko państwa komunistyczne, ale także cała zachodnia Europa coraz bardziej upodabnia się do „innego świata”, ponieważ zaciera różnice między prawdą a kłamstwem, między wolnością a przemocą, między katami a ofiarami.

To jest właśnie droga do utraty „bezpieczeństwa moralnego”, o którym mówił Lech Kaczyński. Stan, w którym znikają punkty odniesienia, kryteria oceny, stan, w którym społeczeństwa i jednostki tracą zdolność dostrzegania i rozróżniania wartości, stan, w którym prawo i moralność celowo zastępuje się pojęciowym chaosem. Oto inny świat *ante portas* – takie było przesłanie pisarza.

Oczywiście, nie jedyne, ponieważ twórczość Herlinga to klucz do współczesnej kultury: pisarz kultywuje sztukę starych mistrzów, w męczeństwie Chrystusa widzi esencję doświadczenia człowieka, w chrześcijaństwie odpowiedź na pytania, których brakuje mu w judaizmie, a przede wszystkim – skracając rzecz do minimum – w niemożności przedstawienia cierpienia, choroby czy samotności niewypowiedziany dramat ludzkiej egzystencji, obnażający ograniczenia literatury i sztuki.

Czterdzieści lat temu, dokładnie w tym samym czasie, gdy w krakowskim piśmie „Arka” uzasadniałem wyjątkowość pisarstwa Herlinga, wskazywałem też na innego pisarza, który podjął ten sam temat, ale od zupełnie innej strony. Był to Józef Mackiewicz. Powie ktoś: „ten sam temat? – niemożliwe!” A jednak. Przecież „inny świat” jako pozbawienie człowieka bezpieczeństwa moralnego to system komunistyczny – podstawowy temat twórczości Mackiewicza. Jej

rozpisanym na dziesiątki głosów lejtmotywem jest właśnie temat *Epilogu Innego Świata*, ale przedstawiony jako zjawisko społeczne. Mackiewicz opisuje z przerażeniem, jak w zetknięciu się z innym światem, przepraszam - z systemem bolszewickim - prominentni reprezentanci polskiej inteligencji - przedwojennej i powojennej - w błyskawicznym tempie zmieniali systemy wartości, języki, znaczenia słów, odwracali dusze na drugą stronę, wyrzekali się swoich tożsamości itd. „Niewyobrażalne, jak to szybko poszło” – zdumiewał się Mackiewicz. Co się stało z „moralnym bezpieczeństwem” tych ludzi, skoro tak szybko dali się skomunizować, często z entuzjazmem na ustach – i w oczach - i na papierze. Mackiewicz – podobnie jak Herling - rozciągał też swoją obserwację na komunizujące elity Europy Zachodniej. A źródło wszystkich patologii widział w patologicznym odrzuceniu prawdy – największym odkryciu współczesnej filozofii. On – przyrodnik z wykształcenia – który w sprawach społecznych, historycznych czy artystycznych za najważniejszą zasadę uważał, że „jedynie prawda jest ciekawa”.

Mówię tu o tej literaturze, która od wieków tworzy moralne bezpieczeństwo dla jednostek i narodów, system drogowskazów i wartości. Dlatego pisarze, którzy takimi drogami prowadzą swoich czytelników, są od wieków przedmiotem niechęci. Warto pamiętać, że Platon chciał wygnać poetów z Państwa. Ale w systemach totalitarnych, w narodowym socjalizmie czy międzynarodowym komunizmie, ten system udoskonalono, zamieniając sztukę w propagandę. Liberalizm w swojej estetyce nazwanej postmodernizmem, twórczo zmodyfikował dylemat Platona i emigracji. Zamiast wyganiać poetów z państwa, wygonił rzeczywistość z literatury, zamiast zmuszać pisarzy do emigracji, sprawił, że to nasza rzeczywistość wyemigrowała ze sztuki, a sztuka zachłysnęła się formułą „*anything goes, nothing matters*” czyli: „wszystko uchodzi, o nic nie chodzi; wszystko dozwolone, nic się nie liczy”. Jak mówi stare przysłowie: „w mętnej wodzie, łatwiej ryby łowić”.

Nic więc dziwnego, że niewielu jest pisarzy, którzy mają odwagę pokazać w swoich utworach, że – cytuję - dziś „mordercy cieszą się bezkarnością, że uczciwi uchodzą za złodziei, a złodzieje za zaradnych przedsiębiorców”. Tak, tak - ale to nie jest cytat z literatury głównego nurtu. To są słowa Lecha Kaczyńskiego. Określenie „walka o rząd

dusz” to - mówiąc jego słowami - walka o to, kto i co zapewnia dziś społeczeństwu „moralne bezpieczeństwo”.

A dla mnie ten temat rozpoczął jeszcze inny pisarz, który - gdy studiowałem go pół wieku temu – uchodził, co prawda, za pisarza wybitnego, ale mogącego zainteresować nie więcej niż czterech czytelników. Był to Wacław Berent. Kiedy w latach 30. jego młodszych kolegów fascynowała idea postępowej nowoczesności oraz czerwonych szwadronów mentalnego postępu, Berent – w swoim cyklu „opowieści biograficzne” - opowiadał o likwidacji I Rzeczypospolitej. W piśmiennictwie z początku XIX w. dogrzebał się formuły, która stała się dla mnie prefiguracją procesów późniejszych o całe stulecie. Berent zauważył, że po likwidacji I Rzeczypospolitej kultura staropolska została zainfekowana - jak tutaj mówię - ówczesnym „innym światem”. Był nim system szpiegowania i donosów, który błyskawicznie rozkładał tożsamość, spójność i wspólnotowość społeczeństwa polskiego - trzy filary ówczesnego bezpieczeństwa moralnego.

Wszyscy polscy pisarze, w tym kilkunastu, którym poświęciłem książki, studia czy eseje, ale także ich czytelnicy ze wszystkich warstw społecznych i zawodów, wszyscy oni od wieku XVIII po twórczość Laureatów tej Nagrody, tworzą podstawę dla reformy Rzeczypospolitej, którą Berent nazwał *nurtem ratowników i odnowicieli Polski w czasach potopów historii*. A - za jednym z historyków XIX w. – ich działalność nazwał: „odrodzeniem w upadku”. „*Odrodzenie w upadku*” to właśnie przywracanie „*bezpieczeństwa moralnego*”.

Tu kończy się moja glosa na temat myśli patrona Nagrody, którą dziś otrzymałem.

Ale chciałbym, na zakończenie, sformułować jeszcze króciutką glosę drugą. Urodziłem się w czasach budowania społeczeństwa bezklasowego. Dziś mówię te słowa w epoce budowania... społeczeństwa bezemisijnego.

Ta sama inżynieria społeczna, oparta na praktyce, którą znakomity pisarz francuski Astolphe de Custine, blisko sto lat temu nazwał „spiskowaniem przeciw prawdzie”. Kilka dekad temu tych, którzy to praktykują, socjolodzy nazwali „sternikami świadomości”. Mają dziś co prawda nieporównywalnie bardziej wyrafinowane

instrumenty pozbawiania społeczeństw bezpieczeństwa moralnego, ale u władzy jest ta sama utopia.